BISKUPSTWO DURHAM.



(GRÓB SWIĘTEGO KUTHBERTA.)

Pierwiastkową stolicą biskupstwa Durham'skiego była wysepka Lindisfarne, na brzegu hrabstwa Northumberland'skiego położona. Tu w 635 roku osiadł mnich Aidan, sprowadzony z Jona od króla Oswalda wychowanego na dworze Donalda szkockiego, ten, przy pomocy swoich towarzyszy rozpoczął dzieło nawrócenia i rozszerzania światła nauki Chrystusowéj, pomiędzy pogańskimi Saksonami. Inny mnich, nazwiskiem Corman był poprzednikiem Aidan'a, ten zbytnią swoją surowością tyle do rozszerzenia boskiéj nauki przeszkód wywołał, iż w końcu, po dosyć krótkich usiłowaniach swoich, do klasztoru powrócić musiał. Następcą Aidana był Finan, podobnież w Jonie ukształcony; umarł on 651 r.; jemu to właśnie winno Lindisfarne nazwanie świętéj wyspy, które dotąd jeszcze nosi. Missya jego trwała przez lat 10, i w tym właśnie przeciągu czasu, rozpoczął on budowę pierwszego kościoła w Lindisfarne; który jednakowoż początkowo był drewniany i sitowiem pokryty. Po nim nastąpiło trzech innych biskupów, z których ostatni nazwany Eat'a, umarł w 685 roku. Znany Swięty Kuthbert był jego następcą. Mąż ten głośnéj sławy, sprawował swój urząd tylko przez dwa lata; lecz w tak krótkim czasie, daleko więcéj u ludu tamtejszego zostawił po sobie pamięci, aniżeli w ogóle wszyscy jego poprzednicy. W młodości, gdy był stróżem trzody ojca swojego, szczególniejszém jego upodobaniem było oddawać się modlitwie i rozmyślaniu; dla nich to wyrzekał się wszelkich rozrywek, wiekowi swojemu właściwych; w końcu powodowany wyższém natchnieniem i widzeniami niebieskiemi, opuścił stan swój i udał się do klasztoru Mailros, gdzie przyjęty od Sgo Eat'a, wkrótce stał się wzorem bogobojności i wstrzemięźliwego życia. Nietylko w żyjącym widział lud jaśniejące dowody łaski Boga, ale nawet przez wiele lat i po śmierci, zwłoki jego jako cudowne, z wielką czcią przechowywano. Swiadomym pierwotnych dziejów angielskiego kościoła, znajome jest podanie o założeniu teraźniejszéj biskupstwa stolicy. Zakonnicy zmuszeni opuścić Lindisfarne, z powodu napadów duńskiego korsarza, unieśli z sobą relikwie S. Kuthberta; w czasie swojéj ucieczki, gdy przyszli na miejsce, gdzie się teraz Durham wznosi, w żaden sposób daléj postąpić nie mogli, z powodu niepokonanego tych zwłók ciężaru. Wypadek ten zdarzył się przy końcu X wieku za biskupstwa Aldun'a czyli Aldwin'a, i był przez niego jako też braci uważany, za znak nieba, iż należało pobudować kościół na tém miejscu, gdzie trumna nieporuszoną zostawała. Cudowne to wydarzenie najpotężniejszy wpływ wywarło na pobożną gorliwość tamecznych mieszkańców.

Las miejsce to pokrywający, z zadziwiającą prędkością wytrzebiony został, i w środku pustyni wzniósł się chrześcijański kościół.

W teraźniejszéj jednak katedrze Durhamu napróżnobyśmy szukali dzieła Aldwin'a. Posadę jéj założył w roku 1093 jeden z jego następców, Wilhelm Carilepho opat St. Vincent'ski w Normandyi, który pomiędzy rokiem 1080 a 1095 godność biskupa Durham'u piastował. Jego zaś następca Rudolph Flambart, który był biskupem do 1128 roku, daleko rozpoczęte dzieło posunął. Po nim godność biskupia przez lat 5 nie była zajęta, gdyż zakonnicy, większą część dochodów do niéj przywiązanych, na ukończenie rozpoczętéj budowy przeznaczyli, która jednakże nie wcześniéj, jak około połowy XIII wieku całkowicie stanąć musiała.

Rzeczona więc świątynia, przedstawia nam postępy kościelnego budownictwa w Anglii podczas XII i XV wieku. Główną cechą téj budowy jest ciężkość jéj kształtów, i zaledwie niektóre tylko części, w późniejszym czasie ukończone, przejście do lżejszego budownictwa ukazywać zaczynają. Pomiędzy dawniejszémi słupami natrafiają się takie, które do 23 stóp obwodu miewają. W przeciągu 80 lat ostatnich wiele zmian w niéj poczyniono, które niezawsze z dobrym smakiem zgodne, bardzo często uderzające sprzeczności w ogóle budowy stanowią. Południowa tylko strona dotąd nietykana, całkowite piętno starożytności zatrzymała; szkoda jednak, że ją zasłania klasztor i inne wysokie przyległe jéj budowy. Zachodnia strona jest najbogatsza i najwspanialsza. Oprócz wież czworokątnych ostremi wieżyczkami na punktach narożnych osadzonych, zawiera w środku wznoszącą się kaplicę, Galileą nazwaną, która 80 długa a 50 stóp jest szeroka. Galilea, jak wnoszą, została odnowioną od kardynała Langley, który na początku XV wieku godność biskupią piastował, i daleko w stylu ozdobniejszym jest zbudowana, aniżeli inne części tego kościoła.

Katedra durhamska stoi na wierzchołku góry, przy któréj miasto jest zbudowane, i wyniosłością swoją wszystkie otaczające ją budowy przechodzi. Zabudowana jest w kształcie krzyża i oprócz środkowéj części 170 stóp długiéj, ma jeszcze dwie poboczne, chórami także zakończone. Bogato ozdobiona wieża w środku budowy na 212 stóp się wznosi; dwie zaś poboczne od niéj mniejsze, daleko więcéj w budowie swojéj okazują prostoty, zachodnią stronę kościoła cechującéj. Cała świątynia długa około stóp 411, szerokością 80 dochodzi.

Strona północna i zachodnia najwięcéj mają przed sobą przestrzeni. Pierwsza, obrócona jest do placu, który z przeciwnéj strony zamyka mieszkanie biskupa, zamkiem zwane. Zachodnia zaś strona, wznosi się nad skalistą pochyłością, któréj podnóże rzeka Wear obmywa; z przeciwnego właśnie jéj brzegu najlepiéj można się unosić nad uroczystą świątyni téj okazałością (*).

CHART KSIĘCIA BRETANII.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

WIDZENIE SIĘ

Wszedł Karol de Blois, blady i drżący ze wzruszenia; Joanna nadstawiła mu radośnie czoło do pocałowania, a po tém powitaniu baronowa wzięła się do kołowrotka, podczas gdy młodzi usiedli przy oknie.

Karol de Blois piękny młodzieniec, skończył niedawno lat siedmnaście. Młodzieńcza siła nie zastąpiła jeszcze w jego rysach powabnéj słabości pierwotnego wieku, lecz dusza jego uprzedziła ciało, i wcześnie się rozwinęła, jak gdyby przeczuwając straszliwe powołanie, mające po nim wkrótce wymagać tyle mocy i dojrzałości.

Śmiały, pewny chód młodego hrabi, dumne ułożenie jego ramion i głowy, dziwną stawiały sprzeczność ze smukłą jego kibicią i włosy jeszcze płowemi jak u cherubina. Brak jednak było różannym jego ustom i tłuściutkim policzkom zwykłego uśmiechu dzieciństwa. Czoło, przedwcześnie wypukłe i wzniosłe, rozpromieniało się chwilami, owym niewysłowionym odblaskiem, zwiastującym jak błyskawica, objawienie myśli. Oczy jego, które sądzićby można, iż zaledwie nieśmiałe rzucaćby powinny promienie, sypały już iskry. Słowem, Joanna, która przeszłego roku widziała go tak niepohamowanym, tak żywym, tak wesołym, zdziwiła się niezmiernie postrzegając na jego twarzy wyraz poważny i prawie smutny. Bo od roku młoda dziewica nie przestała jeszcze dziecięcemi bawić się igraszki, a młodzieniec rozmyślać już zaczął. Gdy Joanna pamiętała o Karolu jak młode dziewcze pamięta o dziecinnych stosunkach, u Karola de Blois przeciwnie, przywiązanie ku Joannie

(*) Ob. Mag. Powszechny Ner 32 rok piąty.

poszło za postępem i zmianą jego pojęcia. Starszy od niéj trzema laty, obdarzony prócz tego wcześniejszym i poważniejszym umysłem, postrzegłszy ją właśnie w chwili gdy zaczynał szukać po świecie, i domyślać się czegóś więcéj w życiu, jak nieco hałasu i trzpiotactwa, wszystkie błahe dotąd marzenia miłości, wszystkie dalekie marzenia szczęścia, za cel obrały młodą hrabiankę. Łatwo pojąć szczęście Karola, gdy mu brat doniósł, iż go umieszczono w rzędzie współubiegaczy o księstwo Bretanii, przez małżeństwo z Joanną de Penthièvre.

Tęcza, zwiastująca Noemu przebaczenie świata i przymierze z Bogiem, nie tyle radości sprawiła patryarsze, jak ta wieść przyniosła wzburzonemu sercu hrabiego de Blois.

Teraz łatwo pojąć dla czego nieprzestał, jak jego współzalotnicy, na reprezentacyi swojéj osoby przez brata, na dworze Jana IIIgo; i dla czego pragnął widzieć się koniecznie z przyszłą księżną Bretanii, przed stanowczą naradą.

Lecz powróćmy do nich w staréj zamkowéj sali.

Po kilku chwilach ogólnéj rozmowy, Pani de Saint-Yvon uchyliła się uprzejmie, obracając swój kołowrotek, a dzieci mogły śmiele rozmawiać jak gdyby nie była obecną.

— Joanno, czyś mnie oczekiwała? — spytał Karol, wracając nagle do dawnych przywyknień poufałości.

— Nie więcéj jak króla lub papieża. Baronowa uwiadomiła mnie o twoim przyjeździe do Nantes dopiéro w chwili twego przybycia.

— Nie wiedziałaś więc?...

— O czém!.... — rzekła z niewiadomością, która zadziwiła Karola.

— Więc cię Pani de Saint-Yvon nie uwiadomiła?

— Uwiadomiła mnie tylko że się tutaj znajdujesz, i nic więcéj. I proszę cię, cóż więcéj wiedzieć potrzebowałam?

I przysunęła się do hrabi z najpowabniejszą minką; ten spojrzał na baronową, która nie odwróciła nawet oczu.

— Jakto! — rzekł, — stryj ci więc nie powiedział?....

— Lecz cóż takiego? — powtórzyła Joanna głosem aż nadto dowodzącym młodzieńcowi że niewiedziała bynajmniéj o tém co przysposabiano.

— Tém lepiéj — rzekł, — tém lepiéj! Przybyłem tutaj aby dowiedzieć się o mojém przeznaczeniu; zacznę od tego że ci twoje wytłómaczę.

— Moje przeznaczenie!....

— Posłuchaj, Joanno. Gdyśmy się poznali w Paryżu, byliśmy oboje jeszcze dziećmi; lecz teraz nie jestem już dziecięciem, i ty niém wkrótce bydź przestaniesz; nie jesteś niém nawet już przez swe położenie, gdyż najwyższe i najpoważniejsze losy spoczywają na twéj głowie.

Gdyby jéj opowiadano fantastyczną legendę o Bercie lub Rolandzie, nie otworzyłaby młoda dziewica większych oczu, jak na te ostatnie słowa i ton któremi były wymówione.

— Stryj twój umrze niezadługo, Joanno; a wieszże kto po nim nastąpi?... Ty.

Tutaj podziw dziewczęcia zdał się nagle zmieniać w przerażenie; zadrżała, i obłędne spojrzenie zwróciła na Karola.

— Tak jest, — mówił daléj, — wkrótce zostaniesz księżną Bretanii; lecz aby młodości twojéj nadać naturalną podporę i obrońcę praw twoich, któreby go wzajemnie obchodziły, wydadzą cię za mąż.

— Za mąż! — krzyknęła hrabianka, powstając z oczéwistemi oznaki przestrachu... — A jeśli nie będę chciała?

— Jak się zdaje nie będą się radzić ciebie względem tego małżeństwa, kiedy cię dotąd nieuwiadomili że jutro ma się już zawrzeć.

Biedne dziewcze z podziwienia w coraz większe przechodziło podziwienie, sądząc się igrzyskiem snu przykrego. Na słowo *jutro*, zbudziła się niejako nagle, i aż do samego muru cofnęła.

— Wydać mnie za mąż!... jutro!... — powtarzała złożywszy ręce na sukni i oczy podniósłszy w niebo.

— Nie pytasz za kogo? — westchnął młodzieniec na wpół czule, na wpół gorzko.

Spojrzała na niego, postrzegła dwie wielkie łzy na jego płowych rzęsach, i przysunęła się aby mu powiedzieć z boleśną uległością:

— I za kogóż takiego, Karolu?

To imię, którém piérwszy raz znowu go nazwała, przytłumiło łzy młodziana i ułatwiło przejście westchnieniu tłoczącemu jego serce. Wziął za rękę młodą dziewicę, i sadzając ją przy sobie, podczas gdy baronowa uprzejmie podwajała turkot kołowrotka:

— Joanno, — rzekł, — jutro, o téj godzinie, ambassadorowie trzech pretendentów do twojéj ręki, zgromadzeni będą w komnacie twego stryja, który pomiędzy ich klientami wybierze dla ciebie narzeczonego. Oto imiona trzech pretendentow: piérwszym jest Karol d'Evreux, syn Filipa, króla Nawarry....

Joanna nie mogła powściągnąć dumnego i pogardnego skrzywienia się; Karol d'Evreux był pięcioletniém dziecięciem.

— Drugim jest Jan Plantagenet, hrabia Kornwalii, brat Edwarda IIIgo, angielskiego króla.

Na to imię zupełnie jéj nieznane, Joanna okazała tylko niecierpliwość dowiedzenia się o trzecim.

— Trzecim, — dodał Karol, wlepiając w twarz młodéj hrabianki spojrzenie zarazem lękliwe i głębokie; — trzecim, jestem ja....

— Ty!.... Panie!....

Dwa te słowa, krótkiém przedzielone milczeniem, bardzo odmiennym wymówione były głosem i potrzebowałyby długiego komentarza; piérwsze wyślizgnęło się żywo i bezmyślnie, z naiwną, nierozważną i poufałą radością; drugie przydaném zostało umyślnie, jako poprawka i wymówioném z nieco udaną powolnością. W piérwszém było jeszcze całe wylanie dziecinnego przywiązania, w drugiém był już przymus poważniejszego i bardziéj wstrzymywanego uczucia. Pierwsze było ostatnim wyrazem dziecięcia, drugie pierwszym wyrazem dziewicy. Pierwszém jéj wzruszeniem było przybrać nowe postępowanie względem hrabiego, a on, którego wyższość zależała na tém jedynie, iż więcéj czuł, nie pojmując jednak więcéj, srodze się z razu przeraził zmianą, w gruncie tak bardzo przyjaźną sobie.

— Oto, — rzekł znowu, żądny ubespieczyć się, — oto trzéj współzawodnicy, z których wybór jednego powoła uczynić ciebie szczęśliwą; ten wybór jestże obojętnym dla ciebie?

— Nie może bydź dla mnie obojętnym, — odpowiedziała Joanna, płonąc się już za własne wyrazy i nie śmiejąc podnieść oczu na młodziana, — lecz, — dodała, — kiedy najjaśniejszy stryj nie sądzi zdanie moje potrzebném, kiedy prócz tego nie jestem uwiadomioną o zamiarach pretendentów....

— Chceszże je poznać? — żywo przerwał Karol de Blois, — oto ich zamiary: król Nawarry nie ma innego celu, żądając dla syna książęcéj korony Bretanii, tylko powiększenie potęgi domu swojego; Jan Plantagenet spodziéwa się, biorąc ciebie za małżonkę, dopomódz dumnym nadziejom brata swego Edwarda, i roszczeniom jego do tronu francuzkiego. Ci dwaj współubiegacze widzą jedynie w małżeństwie do którego wzdychają, wiano twoje, twoje księstwo, nie twoją rękę, nie twoją osobę!

— A ty? — spytało ukradkowe i lube spojrzenie dziewczęcia....

— Ja! ja depcę nogami bogactwa twoje i koronę; ja pragnąłbym znaleść cię pasterką jak Teodegildę, aby jak król Charybert pójść naprzeciwko tobie.

Przykląkł przed hrabianką; dozwoliła mu wziąść swoją rękę, ukradkowém spojrzeniem przekonawszy się piérwéj czy baronowa widzieć ich nie może.... Lecz w chwili gdy usta Karola spocząć miały na maleńkich paluszkach drżących w jego ręku, lekki szelest dał się tuż obok nich słyszéć, po za wnijściem oddzielającém ich od sąsiedniéj komnaty....

ROZDZIAŁ IV.

KTÓŚ TRZECI.

Joanna raptownie wyrwała rękę, hrabia szybko powstał, a Pani de Saint-Yvon zatrzymała swój kołowrotek.

Ochmistrzyni, wiedząc że stary książe przybywał niekiedy tą drogą, gdy się kazał z łoża podnosić, wszystkiémi zadrżała członki; Karol czekał, usiłując przybrać spokojne i naturalne ułożenie; młoda dziewica, tysiącem nieznanych miotana wzruszeń, piérwszy raz zadrżała na myśl, że może bydź zdybaną z młodzieńcem i wszystko troje, w milczeniu pełném przerażenia, spoglądali na zasłonę wnijścia poruszającą się jak gdyby kto nadchodził. Wkrótce, chociaż łoskot ani jednego kroku za nią się nie rozległ, zwolna uchyliła się od dołu i użyczyła przejścia.... wielkiemu białemu chartowi!...

Hrabia i matrona nie mogli wstrzymać śmiéchu podziwienia....

— Yoland! — krzyknęło dziewcze, poskoczywszy ku pięknemu chartowi, jak ku obrońcy wyprowadzającemu ją z kłopotu.

Rzuciwszy na Karola de Blois dumne spojrzenie osoby zdziwionéj, że u siebie nieznaną twarz zastaje, chart przyjął na wpół przyjaźnie, na wpół protekcyonalnie pieszczoty pani, dwakroć naokoło niéj się okręcił, z podniesionym ogonem i wyciągniętym grzbietem, z lekka otarł się o jéj suknię, polizał jéj rączki końcem języka, potém wspiął się, na zwykłe skinienie jéj głowy, oparł przednie swe łapy na jéj ramionach i dał jéj pocałunek.

Chociaż przybycie charta przerwało Karolowi de Blois najmilszą chwilę rozmowy z hrabianką, zamiast gniéwać się na Yolanda jak na nienawistnego natręta, obszedł się z nim jak z ulubieńcem ukochanéj; podwyższył nawet pochwały, które mu dawała młoda hrabianka i stara matrona. Na wzór zakochanych, którzy przymilają się nawet domowemu pieskowi, aby żyć w jedności ze wszystkiém co ulubioną piękność otacza, Karol nie wahał

się pierwszy czynić grzeczności chartowi Joanny. Pieścił go ręką i okiem, dawał tkliwe i lube nazwania jakie mu dziewcze nadawało, chociaż miłość jego nazwań tych zazdrościła, i tysiącem błagających i przynętnych skinień zapraszał aby zbliżył się do niego. Dumny pies chętnie przyjmował te uprzedzające oznaki przyjaźni, lecz wahał się oddać je wzajemnie, i przychylne skinienia pani zaledwie zdołały go do tego nakłonić. Wówczas dopiéro raczył się obchodzić jak z przyjacielem z tym, którego mu jako przyjaciela swego wskazywała; złożył ładną swą wysmukłą głowę na kolanie Karola de Blois, który prośbą i przynętą skłonił go wreście do udzielenia mu téjże saméj pieszczoty, jaką powitał Joannę wchodząc do komnaty.

Odtąd znajomość już została zabraną.

— Nie miałaś tego pięknego towarzysza podróży w Paryżu?— rzekł młodzieniec, starając się zawiązać znowu z Joanną rozmowę.

— Wtedy tylko do mnie należy kiedy stryj raczy mi go ustąpić, — odpowiedziała, — zresztą, i on go dopiéro dostał od sześciu miesięcy...

— Och! to cała o tém historya, — przerwała baronowa.

— Ach! opowiedz mi ją, — rzekł Karol obracając się do młodéj panienki, jak gdyby sam jeden tylko z nią się znajdował.

Pani de Saint-Yvon wróciła do swego kołowrotka z przymuszoną uprzejmością i niejaką urazą, a dzieci znowu zaczęły ze sobą rozmawiać, Karol klepiąc Yolanda ręką po grzbiecie, a Joanna bawiąc się ze złotym jego naszyjnikiem obsianym srebrnemi gronostajami.

— Otóż, będzie temu sześć miesięcy; stryj mój jeszcze był zdrów i wesoły, i codziennie przejeżdżał się konno po dobrém swojém mieście. Pewnego wieczora gdy wracał placem Świętego Piotra, nagle zatrzymany został przez liczny tłum okrywający przedsionek kościoła, który zmięszane wydając krzyki biegł ku ulicom wiodącym do rzeki. Rozróżnił w tłumie kupę żołdactwa, bardziéj wściekłą i hałaśną od innych; unosiła na ręku starą niewiastę skrępowaną i z zakneblowanemi ustami, krzycząc: *do wody!* do wody Diwroetę! (*).— Biedna niewiasta, wysilona własnemi i ich usiłowaniami, poddawała im się bez żadnego oporu, zażywając całéj siły i odwagi na ściskanie w prawéj ręce smyczy młodego białego pieska, który szedł za nią, żałosném wyciem błagając litości niemiłosiernych siepaczy....

(*) *Diwroete*, czarownica Bretańska.

Równie rozczulony jak oburzony podobnym widokiem, rozkazał łucznikom swoim tłum rozpędzić, i zbliżył się do żołdactwa śród powtarzanych okrzyków: Najjaśniejszy Pan! Ustępujcie się Najjaśniejszemu Panu!— Słowa te obiły się zarazem o uszy Diwroety i trzymających ją nędzników, jéj powracając nadzieję, a ich rażąc osłupieniem; zatrzymali się, jak gdyby niewidzialna ręka wściekłość ich skrępowała, dozwalając paść swojéj ofiarze na ziemię, a siebie pochwycić łucznikom.

— Miłosierdzie i dzięki!... Najjaśniejszy Panie!— zawołała niewiasta potoczywszy się pod kopyta rumaka, swego wybawcy.

Stryj mój rozkazał ją podnieść, i spytał co za występek popełniła aby zasłużyć na pomstę ludu.

— Przyszli mnie badać względem przyszłości, — odpowiedziała, — powiedziałam im co widzę, i chcieli mnie rzucić do wody dla tego, że przepowiednia moja szczęśliwą nie była.

A gdy jéj rozkazano powtórzyć przepowiednię:

— Tak! najjaśniejszy Panie! — dumnie odpowiedziała, — powtórzę ją przed tobą, jakkolwiek jest złowrogą, chociażbyś mnie miał za nią srożéj daleko niżeli poddani twoi ukarać. Nie wiele lat upłynie, a sroga wojna zażegnie się w piękném twojém księstwie Bretańskiém. Lamparty przybędą od północy... pożrą gronostaje, użyczywszy im piérwéj obrony, i pójdą aż pod sam Paryż, niszcząc liljowe łany, na których się pasą królewskie stada Francyi. Bracia zabijać będą braci pod temiż samemi sztandary, i najczystszy kwiat twojéj szlachty w samymże korzeniu podcięty zostanie.

Gdy skończyła to harde i straszliwe proroctwo, wszystkich oczy szukały jéj wyroku w oczach mego stryja... Lecz on zdał się bardziéj smutnym jak obrażonym; skinieniem ręki kazał oddalić się żołdactwu; potém pochylając się ku Diwroecie, łagodnym rzekł do niéj głosem:

— Dałyby nieba abyś się myliła! aby lud mój oswobodzonym został od klęsk któremi mu grozisz, jak ja oswobadzam ciebie od jego wściekłości!

I odwrócił się aby daléj jechać ku zamkowi; lecz czarownica zatrzymała konia za cugle, aby z nim jeszcze mówić.

— Najjaśniejszy Panie, — rzekła, — ocaliłeś Diwroetę; oto wszystko co posiada, (pokazując psa), weź go... Dotąd sypiał na słomie, lecz gdy się raz prześpi na gronostajach, nigdzie potém spać nie zechce, i do nikogo należeć nie będzie tylko do księcia Bretanii. Nie zapomnij powiedzieć o tém twojemu następcy.

Lud z niecierpliwością czekał odpowiedzi mojego stryja. Nie wyrzekł ani słowa, wziął smycz z rąk czarownicy i zwolna powrócił do zamku, wiodąc za sobą psa białego, który spokojnym i uległym postępował krokiem, nie obróciwszy się ani razu ku staréj niewieście.

— Był to on! — żywo dodała panienka wskazując na Yolanda który jéj skoczył na szyję.

Karol de Blois słuchał téj powieści z coraz to większém zamyśleniem; umysł jego skłonny już do dziwacznych zabobonów, które w całém jego życiu tak wielką miały przewagę, przyjął na prawdę przepowiednię, którą Joanna trwożyła się nie śmiejąc w nią wierzyć, i zadziwioném okiem poglądał na płoche i swawolne zwierze, jak gdyby widział w niém istotnie tajemniczą przeznaczenia sprężynę.

— Do nikogo, tylko do księcia Bretanii należeć będzie!.... — powtórzył po chwili milczenia....

Potém zwracając ku hrabiance łagodne i tęskne spojrzenie:

— Szczęśliwy więc, — dodał, — ten do którego należeć będzie!

I machinalnie zaczął obsypywać Yolanda pełnemi uszanowania i uległości pieszczoty, jak gdyby błagając aby jego wybrał sobie za pana. Roztargniony pies nie zdawał się na to uważać, a łza, któréj młodzieniec wstrzymać nie zdołał, jak perła potoczyła się po złotym naszyjniku.

— Jednakże — odezwał się natychmiast Karol, płoniąc się za słabość swoją, lecz nie myśląc jéj ukryć, — jednakże jest pewniejszy sposób uczynienia dla mnie losu przyjaźnym.

— Jaki? — wyślizgnęło się z ust Joanny tak cicho, że tylko kochanek mógł ją dosłyszeć.

— Posłuchaj: stryj nie radził się ciebie względem wyboru który ma jutro uczynić, bo pewnie sądził cię na ten wybór najzupełniéj obojętną... Jeśli się omylił, możesz z nim pomówić dziś jeszcze wieczór lub jutro rano, wymienić mu z trzech zalotników tego, co jest najmilszym twojemu sercu, i naprzód poprzeć jego sprawę, potężniejszemi wyrazy niżeli głos ambassadora; tkliwe przywiązanie jakie stryj zdaje się mieć ku tobie, zapewne przeważy szalę na korzyść wybranego przez ciebie....

— Pomówię z nim, — odpowiedziała Joanna, starając się spuścić oczy... — Ale tymczasem nie odchódź pogniewany z przyszłym chartem księcia Bretanii, — dodała lekko szyderczym głoskiem, źle pokrywającym radość jéj duszy.

Hrabia de Blois wyszedł, pożegnawszy charta i baronową i złożywszy pocałunek na ręku młodéj dziewicy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

UWIADOMIENIE.

DO ŁASKAWYCH PRENUMERATORÓW MAGAZYNU MÓD.

Powodowana życzeniem wielu łaskawych Prenumeratorów, Redakcya Magazynu Mód postanowiła od Nowego Roku 1839 rozsyłać Numera pisma swojego w kopertach i takowe od wszelkiego uszkodzenia zabezpieczyć, wydatek ten Redakcya opędzi swoim nakładem i cena pisma zostaje jak dotąd, to jest: w Warszawie złp. 40, przez Urzędy i Stacye Pocztowe rocznie złp. 48, półrocznie złp. 25.

Uprasza tylko Redakcya, ażeby łaskawi Prenumeratorowie raczyli wcześnie i ile można już w ciągu bieżącego i przyszłego miesiąca zgłosić się z zapisaniem prenumeraty do właściwego Urzędu lub Stacyi Pocztowéj, tak, ażeby zapisy te doszły na czas do Warszawy. Tym sposobem łaskawy Prenumerator zapewni sobie rychłe i regularne odbieranie pisma; albowiem zbyt późno uczynione zapisy, narażają nieraz Redakcyą na tę nieprzyjemność, iż dla wyczerpania rycin, które wykonane są przez artystów za granicą, pomimo chęci swojéj, nie może dostarczyć późno żądanego exemplarza.

Łaskawi Prenumeratorowie w Cesarstwie, zechcą także wcześnie zgłosić się do Pocztamtu w Wilnie, lub gdzie dotąd prenumerowali.

Warszawa d. 15 *Listopada* 1838 *r.*

J. GLÜCKSBERG,
Księgarz Szkół Publ. w Król. Pol.

POMPEJA.

Kilka szczegółów z życia dawnych Rzymian.

Odkrycie w pobliżu Neapolu dwóch miast zagrzebanych, Pompei i Herkulanum, które okropny wybuch Wezuwiuszu w roku 79 po Narodzeniu Chrystusa zasypał, jest nader ważnym dla czasów naszych wypadkiem, i można powiedzieć, iż należy do najobfitszych źródeł, z których liczne czerpamy skazówki, wyjaśniające nam obyczaje i tryb domowego życia, starożytnych Rzymian; w nich albowiem znaleziono mnóstwo ciekawych przedmiotów, jakie na rozszerzenie wiadomości naszych w tym względzie, najskuteczniéj wpłynęły.

Bezwątpienia, miasta te należą do największych osobliwości, które znajdują się na ziemi; albowiem przenoszą nas na łono publicznego i domowego życia ludu, jakie przed dwoma blisko tysiącami lat kwitnęło; takiego przymiotu, napróżnobyśmy szukali w niezliczonych ruinach, które dziś jeszcze się wznoszą na ziemskiéj powierzchni. Obszerniejsze od Pompei Herkulanum, prawie przed stą lat odkryte zostało; późniéj zaś odkopana Pompeja (1750) to ma przed ostatniém pierwszeństwo, iż jako więcéj przystępna, blisko w piątéj części już jest wydobyta.

Żadnego języka bogactwo, mówi pewien podróżny angielski, niezdoła dostatecznie skreślić obrazu téj smutnéj zwalisk i lawy pustyni, téj martwéj mumii żyjącego niegdyś miasta, które ciekawość ludzka, ze snu przez wiele wieków trwającego, na nowo obudziła. Pierwszą rzeczą, która zwiedzającego je podróżnika uderza, jest szczupłość domów, w porównaniu do teraźniejszych mieszkań naszych. Gdy jednak zważymy, iż Grecy wytworność i harmonią za główny przymiot piękności uważali, i większą część życia przepędzając pod otwartém niebem, wspaniałość i ogrom dla publicznych budowli i pomników zachowywali; wówczas dziwić się nie będziemy téj skromnéj urodzie domów greckich, i przystaniemy na to, że ich budownictwo zgadzało się z duchem ludu i istotą ówczesnych urządzeń krajowych.

Pompeja, chociaż w mniejszym zakresie, Rzym przypomina; we względzie jednak wspaniałości budowli publicznych, prawie mu nie ustępuje. Przebiegając opustoszałe jéj ulice, za każdym krokiem natrafimy na świątynię, teatr, galeryą, plac wyścigów, tryumfalną bramę lub amfiteatr igrzyskowy. Zważywszy te olbrzymie wodociągi od źródeł Sarnus wodę prowadzące, te rozległe amfiteatry, owe place kolumnadą obwiedzione, te ołtarze, gdzie ogień Wulkanowi poświęcony, płomiennym całunem swoim nieraz ofiarę i ofiarnika odziewał; nadziwiwszy się tym wytwornym patrycyuszowskim pałacom, z ich śnieżnéj białości przysionkami i wewnętrznemi dziedzińcami, które ożywiał wonny wodotrysk, spadający w naczynia z porfiru lub paroskiego marmuru; obejrzawszy te głuche dzisiaj mieszkania, których bogactwa podwyższać się zdaje sama śmierć, nad niemi panująca; te posągi bogów na podnożach swoich obok popiersi przodków stojące, te pyszne malowidła tak świéże i żywe jakby je mistrzowski pędzel wczoraj jeszcze ukończył; uległszy niememu podziwowi na widok cudów rzeźbiarstwa, najwykwintniejszych sprzętów, trójnogów, łoż w tak świéżym stanie, iż rzechyś gotów, że z rankiem dzisiejszym opuszczone zostały; złączywszy mówię wszystko to razem, zapytać można, czyli słusznie Rzymowi przyznać zechcemy pierwszeństwo nad miastem, którego śmierć nawet tak już piękna, iż zachwycony gotówbyś przysiągł, że śpi tylko i oczekuje złotych promieni rozkosznego swojego nieba, aby go zaraz obudziły.

Lecz któż zdoła skreślić obraz Pompei! — To, czego ani pióro, ani rylec wydadź nie potrafią, jest to owa głęboka, uroczysta, lodowa cisza grobu, która zalega te mieszkania, gdzie wszystko jeszcze się żyć zdaje; ten ponury, dymiący wulkan, który się dumnie wznosi nad poziomem nieszczęsnego miasta i z szyderczym wyrazem powtórną zagładą mu grozi; to wszystko właśnie razem wzięte, stanowi główny charakter Pompei.

Pomiędzy niedawno odkopanemi budowlami, odkryto świątynię Izydy, w któréj tajemnicze odbywały się obrzędy, jakich pod karą śmierci ogłaszać się niegodziło. Teraz ze wszelkiém bezpieczeństwem przebiegać można najskrytsze miejsca przybytku straszliwéj bogini. Znaleziono nawet narzędzia, za pomocą których, kapłani posiadający niektóre fizyczne wiadomości, nad ciemnym w tym względzie i łatwowiernym przewodzili ludem. Wielka ilość ludzkich kości w tém miejscu skupionych, każe się domyślać, że deszcz kamienny zachwycił służbę bogini, podczas jéj uroczystości. Przy jednym szkielecie znaleziono skrzynkę nasypaną złotem, którą jak się zdaje, skwapliwy posiadacz z nieszczęsnego miejsca unieść pragnął.

W obumarłém tém mieście wszystko szczególniejszą nosi barwę. Na każdym prawie kroku natrafisz na sklep kupiecki, zaledwie



(NARZĘDZIA MUZYCZNE U STAROŻYTNYCH RZYMIAN.)

przed godziną, jak się zdaje, od właściciela opuszczony. Tu w porządku stoją jeszcze prześliczne amfory, w których przedający oliwę, płyn ten przechowywał; tam jest sklep winiarza, ówdzie rzeźnika i t. p. Wszystkie zaś rozpoznasz po godłach nadedrzwiami zawieszonych; między niemi szyld aptekarski przedstawiał węża jedzącego jabłko. W jedném z pomieszkań znaleziono naczynie szklanne pełne śliwek, fig i gron winnych. W ogólności, jest tu bardzo znaczna liczba cieplic, które, zdaje się, iż ówcześnie mogły zastępować miejsce naszych kawiarni, i że w nich rozmaite sprzedawano posiłki; kilka z nich zapełnione są mnóstwem kości, co każe się dorozumiewać, iż domy te, nader uczęszczane bydź musiały.

Rycina wyobraża narzędzia muzyczne u starożytnych Rzymian używane: 1 Bębenek w ręku. 2 Lutnia o pięciu stronach. 3 Trąba czyli Tuba. 4 Flet. 5 Grzechotki czyli Kastanietty. 6 Żyle. 7 Multanki. 8 i 9 Arfy.

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKÓŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482.